ROK IV MARZEC 1932 NR. 3

PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH
WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

Adolf Hitler

Hitler jest jedną z najbardziej wpływowych osobistości w Europie i groźnym wrogiem Polski. Koleje jego życia są niezwykłe. Urodzony w Austrji na pograniczu Czech jest synem Czeszki. Przedstawiciel niemieckiego bałwochwalstwa nacjonalistycznego jest więc nawpół Słowianinem Wychowany w atmosferze obrzydliwych walk narodościowych niemiecko-czeskich i niemiecko-żydowskich w Wiedniu czuje od 12 roku życia wstręt do Austrji, opanowanej według niego przez Żydów i biurokrację. Syn urzędniczyny celnego czuje odrazę do karjery biurowej. W szkole realnej w Lincu uczy się tylko historji i rysunków, do których wykazuje wielkie zdolności. Nauczyciel historji, szowinista, budzi w nim wściekłą dumną bestję germańską. Ten czciciel rasowości germańskiej nie jest podobny do Niemca rasowego: ma ciemną skórę, okrągłą głowę, jest krępy. Urodzony w r 1889, jest już w r. 1901 nieprzejednanym nacjonalistą. Lata młodości spędza w Wiedniu, gdzie wstępuje do Akademji Sztuk Pięknych. Z uporem manjaka powtarza: „Muszę zostać architektem. Wiem, że pewnego dnia zostanę architektem“. Z takim samym uporem twierdzi teraz, że zbliża się dzień Trzeciego Cesarstwa. Dlatego zwolennicy nazywają go Wilhelmem Trzecim.

Młodość miał twardą. Przez lat pięć pracuje jako malarz - robotnik, szykanowany i maltretowany przez kolegów, nienawidzących go za pochodzenie burżuazyjne. Zaznał podłości i okrucieństwa ludzi ciemnych i biednych, demoralizowanych przez marksistów. Odtąd staje się wrogiem nieprzejednanym socjalizmu. Po 5 latach udręki moralnej i nędzy zostaje w 20 roku życia (1909 r.) samodzielnym rysownikiem i akwarelistą. W r. 1912 przenosi się do Monachjum. Przodkowie pochodzili z Bawarji. Nie chcąc służyć w wojsku nienawistnej austrjackiej dynastji, która, według niego, zaprzedała się Słowianom, porzuca ojczyznę, dotychczas pozostając mimowoli austrjackim poddanym. W r. 1914 wstępuje jako ochotnik do armji bawarskiej. Udając się na front belgijski, z zachwytem wita Ren, wielką rzekę Germanji, symbol jej potęgi i jedności. Ciężko raniony w r. 1916, w r. 1917 bierze udział w dwu wielkich ofenzywach. W październiku 1918 ślepnie od gazów. Po odzyskaniu wzroku nie może już jednak

rysować. Zostaje instruktorem - oficerem w reichswerze, urabiając żołnierzy w swym duchu. Tworzy w r. 1920 niemieckie Robotnicze Stronnictwo, w którem przemawia z niezmiernem powodzeniem. „Dałeś nam wiarę w cud. W naszej rozpaczy usłyszeliśmy słowo wyzwolenia“. — tak wołają do niego entuzjaści. W ciągu lat dziesięciu hitlerowcy zdobywają wpływy w parlamentach Saksonji, Turygji i Badenji, w radzie miejskiej Berlina, zdobywają 107 miejsc w parlamencie Rzeszy. Liczba ich w kraju zwiększa się trzydziestokrotnie. Hittler wcale nie posiada imponującego wyglądu Mussoliniego — ma rysy nieregularne, wzrok niespokojny. Mówcą jest pierwszorzędnym.

Ostre, mocne jego słowa wrzynają się głęboko w duszę niemiecką, opanowują ją całkowicie. Umie przemówić do robotników, ponieważ przez lat pięć był robociarzem, zaznał nędzy i prześladowań od prostaków, rozbestwionych przez agitatorów marksistskich. W Wiedniu nauczył się nienawidzieć nietylko socjalistów, lecz i wszechwładnych, według niego, żydów którzy zanieczyścili swą domieszką wspaniałą rasę germańską, zagarnęli prasę, banki, handel i opanowali socjalną demokrację. Za najwznioślejszy cel swój i najświętsze powołanie uważa odtąd oczyszczenie Niemiec od tej zarazy. Wojna została przegrana dlatego, że nie prowadzono jej z należytą energją. Winę ponoszą ministrowie, posłowie i socjaliści. To socjaliści podpisali traktat wersalski. Socjaliści, przyjmując haniebny plan Dawesa, zaprzedali Niemcy w niewolę na dziesiątki lat. Życie jest zatrute przez marksizm. Teror socjalistów może być zwalczony tylko jeszcze bardziej bezwzględnym terorem nacjonalistycznym. Pierwszy zamach wypadł całkiem bezmyślnie w listopadzie 1923. Tłumy hitlerowców szły ulicami Monachjum źle uzbrojone i niewyćwiczone. Gdy wojska rządowe dały ognia i położyły trupem 16 uczestników, wódz nie wydał rozkazu bojowego, lecz razem z innymi padł na bruk, by uniknąć kul. Stanął przed sądem, siedział rok w więzieniu. Gdy we wrześniu 1930 wybory dały mu 6 i pół mil. głosów, jeszcze się nie ważył na nowy zamach. Jednak przekonuje wciąż, że jest wybrańcem Siły Wyższej, że w pracy politycznej osoba wodza jest czynnikiem najważniejszym, nikt nie może zastąpić wielkiego człowieka. Pieniędzy ma poddostatkiem. Wstęp na wiece, gdzie przemawia, jest płatny. Faktem niezrozumiałym lecz niewątpliwym jest hojne popieranie Hitlera przez wielki przemysł i banki, które nie żałują grubych subsydjów. Jakie zamieszanie istnieje w pojęciach Niemców, świadczy dzień 14 października 1930 r., kiedy po złożeniu przez hitlerowców w parlamencie projektu konfiskaty i upaństwowienia wszystkich instytucyj kredytowych, wódz udał się na obiad, wydany dla niego, w towarzystwie największych rekinów bankowych. Nie bez podstawy też wrogowie Hitlera oskarżają go o korzystanie z zasiłków faszystów włoskich i austrjackich. Wódz jest zdumiewającym agi-

tatorem. Do protestantów gada jako protestant, z katolikami mówi teraz jako katolik, z lewicą jako socjalista, z prawicą jako nacjonalista. Im większe tłumy Go słuchają, tem bardziej zniża się do ich poziomu. Zna psychologję tłumu. Występuje wieczorem, gdyż o tej godzinie ludzie są bardziej wrażliwi. Zjawia się wśród mnóstwa sztandarów przy dźwiękach muzyki wojskowej. Główną masę jego zwolenników stanowią byli oficerowie, wyżsi urzędnicy z czasów Wilhelma II i młodzież patrjotyczna, pozostająca bez pracy i bez nadziei zdobycia pracy w obecnych warunkach, dlatego pragnąca przewrotu i utworzenia Trzeciego Cesarstwa, w którem ma powstać wspaniała armja.

Wśród posłów w parlamencie jest pastor, 14 nauczycieli, 16 inżynierów, 8 literatów, 4 adwokatów, 8 robotników, 9 urzędników, 8 zawadowych oficerów, 16 kupców i rzemieślników. 13 października 1930 r. 107 hitlerowców - posłów, zachowując szyk wojskowy, ukazało się po raz pierwszy w parlamencie. Wszyscy w koszulach brunatnych. Jedni mieli na rękawach czerwone przepaski ze swastyką, inni mieli rękawy po łokcie zakasane. Przeważali młodzi. Niektórzy mieli wygląd łobuzów. Gdy marszałek, sprawdzając obecnych, wymienił nazwisko pierwszego z nich, ten wstał i krzyknął: „Niech żyje Hitler". Wszyscy towarzysze wrzasnęli to samo. Na zaczepki komunistów odpowiedzieli krzykami różnych zwierząt i przeraźliwem gwizdaniem. Następnie obie strony ruszyły do walki. Służba z trudnością rozłączyła bijących się. Pomimo to marszałek sejmu, 84-letni Herold, uznał za stosowne grzecznie poprosić ich o zajęcie swych miejsc. 10 paźdz. 1931 r. Hindeburg przyjął Hitlera i długo z nim rozmawiał. Sprawiło to wrażenie skandalu. Wszak Htler jest demagogiem i nie posiada poddaństwa niemieckiego. Jakieś pismo humorystyczne zapowiedziało, że w najbliższym czasie zostanie przyjęty przez Hindenburga Stalin, szef niemieckiej partji komunistycznej. Cóż dziwnego, że rozbestwiony powodzeniem i bezkarnością kandyduje na prezydenta, wysyła swego ambasadora do Londynu, zwołuje do hotelu naprzeciwko pałacu kanclerza przedstawicieli prasy zagranicznej (z wyjątkiem francuskiej i polskiej) i roztacza przed nimi program swych przyszłych rządów. Oświadcza im, że tym wierzycielom będzie płacił, a innym nie da nic, że względem konferencji rozbrojeniowej zajmuje takie a nie inne stanowisko itd. Miljony Niemców widzą w tym człowieku swego mesjasza, który ciągle obiecuje zrzucić z ich pleców ciężar olbrzymich odszkodowań, które aż do r. 1987 mają wynosić rocznie 100 milj. funtów szterl. czyli 3 miljardy złotych. Umie zatargać sumieniem i doprowadzić do ekstazy. Oto urywek jednej z jego mów (20 paźdz. 1930): „Rzeczą najohydniejszą jest to, że Niemcy przestali być godnymi swej wielkiej przeszłości. Najbardziej boli mię to, że w tej chwili przełomowej miljony naszych rodaków nie posiadają wcale uczucia narodowego, to znaczy, że

miljony Niemców nie chcą być Niemcami. Wszędzie górą łajdactwo i upadek. Jeśli naród nie zmieni się z gruntu, nie zasługuje na istnienie, życie dano nam bowiem nie poto, by jeść i pić. Wierzę jednak, że jeśli pewnego dnia naród zechce raz jeszcze poświęcić swe siły celowi wyższemu, to ziści się cud. Wpierw cud ten stać się powinien w każdym z nas". Nawet najbardziej krytyczni jego słuchacze mówią: „Ba, naprawdę gorzej już chyba być nie może. Spróbujmy, czy nie będzie z nim lepiej".

Wrogowie Hitlera pocieszają się tem, że hitlerowcy są mało podobni do faszystów, których siła polega na milicji, składającej się z byłych żołnierzy W nich w r. 1922 był potężny zapał bojowy. 90 proc. hitlerowskich bojowców składa się z chłopców, którzy nigdy nie słyszeli grzechotu karabinu maszynowego. Walki uliczne w Brunswiku w październiku ub. r. dowiodły. że robotnicy stoją wyżej pod względem bojowym od tej młodzieży.

Gdyby Hitler zdobył władzę siłą, nie zdołałby jej utrzymać wbrew woli swych przeciwników. Różnica między Mussolinim a Wodzem niemieckim jest jeszcze bardziej rażąca: Nazwany przez swych bałwochwalców Wilhelm Trzecim, nie zdołałby Hitler sprostać niesłychanie trudnym politycznym i gospodarczym zagadnieniom swego kraju. Czeka go niechybne i zapewne haniebne fiasko. Może je oddalić, lecz nie jest już w stanie odwrócić.

Tak się pocieszają przeciwnicy...

Jedynym poważniejszym przeciwnikiem Hitlera jest duchowieństwo katolickie. Biskup Moguncji potępił w roku zeszłym niektóre tezy programu tych czcicieli starogermańskiego pogaństwa. Wódz stał się ostrożniejszym, zwłaszcza gdy stwierdził znaczne osłabienie ruchu w katolickich krajach: na Śląsku, w Bawarji i w Nadrenji Stanowisko kleru zostało osłabione, gdy Bruening, jeden z czołowych katolików, zmuszony był do porozumienia się z wodzem. Podobno biskup Kaas udał się do Rzymu celem pojednania Papieża z ruchem. Miał prosić o anulowanie zarządzeń episkopatu Nadrenji.

Hitler ma całkowite poparcie drobnego mieszczaństwa, które uważa za najdzielniejszą i najbardziej patrjotyczną warstwę narodu. Jako najwięcej zniszczona przez inflancję i awantury polityczne okrsu powojennego ta warstwa jest ślepo oddana przywódzcy. „Poco pytacie nas o program? Płonie w nas żar poświęcenia. Wierzymy w wielkiego człowieka. Czyż ci, którzy są opanowani przez wielką namiętność, mogą być pytani o rozumowe uzasadnienie swych uczuć? Życie nasze było całkiem czcze i beznadziejne. Walka, podjęta przez Wodza, ma na celu zniszczenie świata chaosu, w którym żyjemy. Musimy zatrzymać koło rozpędowe kapitalizmu i stworzyć nowe życie, ugruntowane na własności, przywiązaniu do ziemi i ogniska domowego. Dla nas 500.000 wolnych i niezależnych szewców mają z punktu widzenia gospodarczego i politycznego większą wartość, niż

olbrzymich fabryk obuwia". Robotnikom również się uśmiecha upaństwowienie spółek akcyjnych, przemysłowych, socjalizacja wielkiego handlu, organizacja opieki nad dziećmi i młodzieżą i reforma rolna na pożytek bezrolnych. To ma być lekarstwem na nadmierną racjonalizację i koncentrację w przemyśle. Ludzi mniej zrównoważonych Hitler tumani hasłami mesjanizmu: „Niemcy mają wielkie posłannictwo dziejowe". Gra umiejętnie na przeczulonych strunach dumy narodowej. „Niemcy muszą zdobyć swe dawne stanowisko w świecie" Od dzieciństwa bohaterem, prawie bóstwem był dla Hitlera Palm, księgarz z Norymbergi, którego Napoleon kazał rozstrzelać w r. 1806 za wydanie i rozpowszechnianie broszury „O głębokiem poniżeniu Niemiec". Wśród rozmyślań o poniżeniu i chwale dojrzewał ten straszny duch - namiętny i metodyczny, nienawidzący żydów, francuzów i polaków, kapitalistów i socjalistów. Pełen sprzeczności stapia je w jednej przeogromnej namiętności w dążeniu do ugruntowania Niemiec nad światem.

Jeżeli dzieje nie zgotują mu przykrej niespodzianki, Hitler zaciąży na naszych losach tak, jak nikt nigdy przed tem. Bądźmy przygotowani do walki śmiertelnej, nieubłaganej.

P. Żukowski

W klasztorze niemieckim X w. *)

Minęły dwa lata. Z lip osypywało się kwiecie. Na podwórzu klasztornem tłoczyli się i spacerowali chłopcy. Tankmar przypominał sobie, jak po raz ostatni siedział w ogrodzie ojca pod lipą obok matki i brata. Wtem zbliżył się ku niemu brat ogrodnik i zaproponował pojechać na wieś do chorego. Tankmar ogromnie się ucieszył i poszedł z ogrodnikiem zrywać zioła lecznicze, rosnące w osobnym zakątku ogrodu. Braciszek ściął parę główek sałaty i wyrwał kilkanaście rzodkiewek. „Tego chłopi nie znają. To zielsko doskonale działa na żołądek. Zaniosę je choremu!" Chłopak zaznaczył, że chłopom i rycerzom są nieznane wszystkie rośliny na tych grzędach. „Nie mają pojęcia o pietruszce i cebuli, o kminie i ogórkach. A gdyby nawet mieli — powiedział ogrodnik — to nie wiedzieliby, co z tem począć." Podszedł do krzewu różanego, ostrożnie zerwał purpurowy kwiat i dał chłopcu powąchać. Tankmar z najwyższem zadowoleniem wciągnął cudowny aromat, o jakim przedtem nie miał pojęcia. „Ten kwiat dziś rano był jeszcze pączkiem. Twoje serce tak samo otworzy się, gdy padnie na nie światło boskiej miłości." Chłopak wyciągnął rękę po różę i rzekł: „Daj mi ją, czcigodny ojcze. Będę myślał o mej duszy, patrząc na ten kwiat. Nie raz gryzę się tem, że za mało myślę o św. Jerzym."

„Tej nie dam ci, mój synu, przeznaczam ją dla chorego Henryka. Jej woń odpędzi złego ducha, który wcielił się w niego i sprawia mu takie męki. Jutro zakwitnie inna róża, gdy się zbudzisz, ujrzysz ją przy twem łożu wstawioną do kubka z wodą. Zamierzam posadzić kilka krzewów koło fontanny, by braciszkowie stale mieli przed oczyma kwiat, przypominający o miłości Boga. Czy wiesz, że w niebiosach kwitnie również róża, lecz jakże piękniejszą jest! Ma tysiąc listków szkarłatnych, jak zorza poranna. W jej kielichu spoczywa Matka Boska, nasza władczyni umiłowana". Tankmar słuchał w skupieniu, potem powiedział: „Teraz wiem, dlaczego róże rosną tylko w klasztorach: tam ziemia jest poświęcona" „Błogosławioną niech będzie pamięć o tym pobożnym pielgrzymie, który z Rzymu zawędro-

*) Patrz Nr. 2.

wał na północ i żądał u nas opieki podczas choroby. Gdy wyzdrowiał, złożył św. Jerzemu w dowód wdzięczności gałązkę różaną, którą przyniósł ze sobą w kubeczku. Nic kosztowniejszego nie posiadał." Gdy zbliżyli się do bramy, ujrzeli dwa osły, obładowane zakurzonemi skrzyniami. Z ludźmi, którzy je wprowadzili do klasztoru, odźwierny radośnie witał się. Był to kupiec i jego pachołkowie. „Długo czekamy na was. Braciszkowie w kancelarji i przepisywacze ksiąg świętych skarżą się oddawna na brak pergaminu, którego mieliście dostarczyć". — „Chwalić Boga, żeśmy uszli z życiem. Czy nie wiecie, że Frankończycy toczą wojnę ze Szwabami".— „Przed Wielkanocą zajrzał do nas kupiec z nad Renu i opowiadał, że hrabia Frankoński pała nienawiścią do króla Ottona". — „Hrabia Bawarji również jest wrogiem króla. Marnem jest życie kupca. Lada chwila może stać się ofiarą jakiejś bandy rycerskiej. W całej Hesji niema wioski, w której można byłoby przespać się spokojnie. Jednej nocy budzą nas wołaniem: „Wynoście się! Rycerze królewscy przyszli i pragną spać na waszych łóżkach." W drugiej wsi wpada w nocy przerażony chłop, budzi i wrzeszczy: „Wstawać, uciekać! Do wsi zbliżają się z jednej strony królewscy, z drugiej hrabiowscy!" Zmykamy z całych sił, przyświeca nam łuna podpalonych chat. I tak w całej Frankonii. Parę razy byliśmy zatrzymani przez oddziały rycerzy. Gdybyśmy wieźli wino, bylibyśmy doszczętnie obrabowani. Lecz na pergaminie ci zbóje nie znają się wcale." — „Czy widziałeś króla?" — zapytał Tankmar z żarzącemi się oczyma. — „Widzieliśmy go, jak pędził z setką rycerzy po zielonej runi. Miał długą, prawie czerwoną brodę. Zagniewany był okrutnie i szerzył postrach. Na Boga, nie chciałbym być królem, gdyby mi inni zazdrościli korony." — „Ale pocóż przysięgali mu wierność?" — zapytał chłopiec. — „Ba. Chyba nie poto, by jej mu dochować". Chłopak poczerwieniał ze wstydu, bo przypomniał swą nieudaną ucieczkę od św. Jerzego. Ogrodnik i odźwierny w lot zrozumieli to; pierwszy rzekł: „Teraz dzieciak wie, że powinniśmy pozostać wiernymi naszemu świętemu, który otacza nas nieustającą opieką." — „Prawdę mówicie, — podchwycił kupiec. — Wasz święty dzielnie was wspomaga. Wasz klasztor wygląda, jak zaciszna wyspa wśród szczęku broni i wrzawy bitew. Chodźcie, chłopcy, do kościoła. Musimy błagać św. Jerzego o powrót szczęśliwy."

Nazajutrz kupiec opowiedział opatowi, że król toczy krwawą walkę z nieposłusznymi braćmi swymi, że Frankończycy, uważający się od czasów Karola W. za najprzedniejszą nację, łupią włości Sasów; że Lotaryngja odpadła od Rzeszy. Zamiast utrąconych hrabiów król mianuje biskupów, którzy nie są skrępowani dynastycznemi względami, uważają się raczej za dostojników i urzędników królewskich i są wierni, skupiając w swych rękach władzę świecką i duchowną.

Tymczasem ogrodnik z Tankmarem wędrowali przez lasy i wzgórza, zachwycając się pięknością natury, aż stanęli przed ubogim domkiem chorego chłopa, Henryka. W podwórzu ujrzeli klasztorny wóz, którym sługa z klasztoru objeżdżał chłopów, zbierając daninę, i usłyszeli przez otwarte drzwi rozmowę, prowadzoną w chałupie: „Ser za mały" — niecierpliwił się sługa. Na to gospodyni: „Co znowu wymyślasz. Czyż nie dawałam zawsze na św. Marcina najtłustszej gąski, na zapusty największej kury, a na Wielkanoc największych jaj? Ser jest taki, jakim powinien być. Nigdy większego nie było." — „Nieprawda! Gdy usiądziesz na tym serze, zakrywasz go całkiem. Według prawa zaś, powinien być widoczny znaczny rąbek". — „Daj mi spokój. Miej wzgląd na chorego męża". Sługa odparł chłodno: „Kobieto! Co się należy klasztorowi, to się należy".

Braciszek ogrodnik nie mógł wytrzymać. Postawił na ziemi kubeczek z różą, wpadł do chaty, chwycił za ramiona sługusa nielitościwego i wyrzucił go za drzwi. „Czy nie wiesz, — grzmiał na niego, — że przy zbieraniu datków nie wolno ci wchodzić do chat? To ty nie wiesz, że ci nie wolno nic zabierać z domu, gdzie leży chory? Precz stąd, sługo niewierny!" Zdzierca zbladł i upadł na kolana. „Ojcze świątobliwy, daruj mi, nie mów o tem opatowi, za karę przez trzy noce będę odmawiał bez przerwy „Ojcze Nasz". — „Milcz. Powiem

opatowi. Zostaniesz ukarany". Wdzięczność pary chłopskiej była bezgraniczna. Chory, leżący na słomie, był wpatrzony w mnicha, jak w obraz święty.

„Tym olejem nasmaruj ciało i rozetrzyj dobrze. A te jarzyny ulżą żołądkowi, no i smakują nieźle." Następnie podszedł do chorego i, rozcierając jego sztywne kończyny, mówił: „Duchu nieczysty, opuść to ciało, wróć do szatana, który cię przysłał!" Przeżegnał trzykroć głowę chorego i położył mu na piersiach różę, która miała odstraszyć moce ciemne i wrogie. Tankmar stał przy drzwiach i z natężeniem oczekiwał, aż się ukaże djabeł, którego zamierzał pojmać i mocno trzymać. Chory dźwignął się powoli, wyciągnął rękę do braciszka, ujął rąbek jego płaszcza i przycisnął do swych ust. W tej chwili mysz wybiegła ze słomy i ruszyła ku wyjściu. Tankmar dopadł, chwycił i pobiegł do studni, przed którą ujrzał odjeżdżającego sługę. „Co robisz" — zapytał on. — „W tej myszy siedzi zły duch, chcę utopić go w studni". — W czarnych oczkach sługi zabłysło okrucieństwo. „Poco masz zanieczyszczać wodę. Daj mi mysz. Ja się załatwię z nią tak, że już nikomu nie zaszkodzi" Niegodziwiec wcale nie zabił myszy. Zrobił dla niej malutką klatkę i umieścił w stajni, w ciemnym zakątku. Starannie ją karmił i codziennie spodziewał się, że zły duch wyjdzie z niej i zemści się na braci klasztornej.

Tankmar zapoznawał się bliżej z życiem klasztornem. Interesowały go prace braciszków. Zaglądał do pracowni złotnika, który wyrabiał kielichy, krucyfiksy, lichtarze i relikwjarze. Podziwiał biegłość snycerza, który na bukowych tablicach rzeźbił nożem postaci świętych, odbijane później na pergaminie. Obserwował, jak malarz pokrywał malowidłami szyby okien kościelnych. Pracował chętnie w ogrodzie. Dowiedział się od ogrodnika, że zapach lilji leczy chorych i odpędza złego ducha. D. c. n.

Francuska na dworze pruskim

„Une française à la cour de Prusse". Taki tytuł noszą świeżo wydane drukiem pamiętniki księżnej Marji Radziwiłłowej z domu Castellane, wnuczki marszałka Francji, a żony Antoniego Radziwiłła, adjutanta przybocznego cesarza Wilhelma I. Pisane na podstawie notatek, robionych na gorąco, językiem żywym i barwnym, pamiętniki te stanowią cenny przyczynek do historji drugiej połowy ubiegłego stulecia. Marja Elżbieta Dorota, hrabianka de Castellane urodziła się w Paryżu 1840 r., pierwsze lata życia spędziła w Prowancji. Dziadek jej, marszałek Castellane, wpoił w nią kult dla rycerskiej służby dla ojczyzny. Matka ze strony macierzystej, siostrzenica wielkiego Talleyranda, rozbudziła w niej zamiłowanie do historji i zrozumienia arkanów polityki zagranicznej. Po ojcu odziedziczyła upodobanie artystyczne, zamiłowanie do życia wiejskiego, do twórczej radości budowania. W 17-tym roku życia, poślubiona księciu Antoniemu Radziwiłłowi, Marja Elżbieta zamieszkała na stałe w Berlinie. Tam bowiem obrała sobie siedlisko gałąź rodu Radziwiłłów, blisko spokrewniona z dynastją pruską. Dom, do którego weszła, surowy był, zamknięty i cichy „Zrozumiałam natychmiast — pisze — że, znalazłszy się w otoczeniu tak różnem od tego, do którego przywykłam, muszę zamknąć się w sobie i z siebie dobyć zasoby, których brakło mi zewnątrz.

Une française à la cour de Prusse. Paris 1931. Pamiętniki opatrzone są przedmową Juljusza Cambon. „Nie mogąc zaspokoić mego upodobania w

konwersacji, żyłam lekturą gazet, wiadomościami, udzielanemi mi przez księżnę, korespondencją przeważnie z osobami starszemi, czytałam „wszystkie“ książki historyczne, jakie tylko wychodziły“. Wielka przyjaźń łączyła młodą księżnę z żoną następcy tronu, późniejszą królową i cesarzową Augustyną sasko - wejmarską. Obie nie czuły się szczęśliwe w „klimacie“ berlińskim. Królowa miała prócz tego wiele przykrości do zniesienia. Niekochana przez męża, niedoceniona przez otoczenie, nie mogła zdobyć sobie wpływu, który jej się należał. Wyrastała już obok tronu brutalna postać Bismarka, zdecydowanego wroga królowej. Młoda księżna patrzy zbliska na bieg wypadków i ocenia je dziwnie trafnie. Nastaje rok 1863. Ze smutkiem notuje księżna straszne pogłoski o tem, co się dzieje w dalekiej Polsce, której nie zna dotąd wcale. Pozna ją dopiero w dwa lata później, gdy z mężem i trojgiem dzieci uda się dla spraw majątkowych na Litwę. „Niewypowiedziany smutek panuje w tym kraju, wszystkie serca przepełnione boleścią... Niema rodziny, któraby nie miała kogoś ze swoich na Sybirze... Ruina, przeważnie, żałoba... Głęboka litość musiała przejąć moje serce wobec takiej niedoli. „Żywe tragedje rodziny Radziwiłłów w bezgranicznie smutnem wówczas Wilnie są dla księżny prawdziwą rewelacją. „Wszystko to wydało mi się daleko wznioślejsze, daleko większe, niż to, co znalazłem w Berlinie. Na każdym kroku przemawia przeszłość, i to jaka przeszłość! Od tej chwili powzięłam uczucie wielkiej sympatji dla Polski.. Uczułam, że jestem tu daleko bliższa środowisku wśród którego wyrosłam“. Gdy w roku 1875 mąż jej obejmie w posiadanie dobra rodzinne w Nieświeżu, celem księżnej, któremu poświęci trzydzieści lat życia, stanie się odbudowanie zrujnowanej rezydencji książęcej, i „stworzenie dla dzieci gniazda godnego ich nazwiska i historji ich ojczyzny“. „Kiedy przybyłam do Nieświeża — pisze — zastałam ruinę; ani jednego drzewka, pustka zupełna... Dachy dziurawe, rynien brak, woda przeciekła wszędzie; kilka sufitów zapadło, inne zaledwie się trzymały, a wszystko pogrążone w niesłychanym brudzie, tylko piękne jezioro rozlewało wody czyste i błękitne, dzieląc zamek od miasteczka... Nasze zasoby pieniężne były bardzo ograniczone, miejscowe siły rzemieślnicze wielce prymitywne. — Trzeba było mieć dużo cierpliwości, pracować samej i łamać sobie głowę, aby dać radę trudnościom i dojść do praktycznego rezultatu“. Nie poszły na marne te lata gorliwej pracy — rodzina wróciła z radością do opuszczonego domu... Może swobodnie rozmyślać o przeszłości i marzyć o przyszłości ojczyzny. Odbudowanie Nieświeża i postawiona wyraźnie teza sprowadzenia napowrót do ojczyzny tych z rodziny, którzy z powodu związków małżeńskich oddalili się od niej, to najbardziej zajmujące dla polskiego czytelnika. Pod względem ogólnym jednak najciekawsze są karty, poświęcone wojnie francusko-pruskiej 1870 r. Księżna przytacza listy swoje i męża, pisane w czasie kam-

panji. On był adjutantem i osobistym przyjacielem króla pruskiego, jej serce pozostało francuskie. Konflikt uczuciowy, który wytwarzała sytuacja, rozwiązywali gorącem pragnieniem pokoju. Ale kiedy ów upragniony pokój przyszedł tak twardy i upokarzający dla Francji, mierząc własną boleścią upokorzenie narodu francuskiego, młoda kobieta z prawdziwą intuicją patrjotyczną przeczuła jego oddźwięk i skutki w dalekiej przyszłości. „Chęć narzucenia Francji pokoju, projektowanego przez Bismarka, dowodzi najzupełniejszej ignorancji charakteru francuskiego — pisze we wrześniu 1870 r. — Prendre, est — ce posseder? — Czy, zabrawszy przemocą Alzację i Lotaryngję, Niemcy myślą, że je posiadają naprawdę?“ Wspomnienia księżnej Radziwiłłowej urywają się na r. 1873. „Walka z katolicyzmem, sprowokowana przez Bismarka w Prusiech, stała się tak żywa, kryzys polityczny tak ostry i położenie nasze tak trudne, że pióro moje zdrętwiało i uważam za przezorne nic nie pisać“. Ze śmiercią cesarza Wilhelma I rozluźniły się węzły, łączące księżnę z dworem berlińskim. Częściej niż w Berlinie przebywała odtąd księżna w swych dobrach śląskich, odziedziczonych po babce. Zmarła w drugim roku wojny światowej (w czerwcu 1915 r.), w zamku Kleinitz na Śląsku, nie doczekawszy zwycięstwa Francji i odrodzenia Polski.

Wspomnienia księżnej Radziwiłłowej zasługują na specjalnie dobrą pamięć u nas. Otoczona kosmopolityczną atmosferą, wielka dama, należąca do trzech narodów, odkrywa na własną rękę ojczyznę dla swoich dzieci — Polskę.

Jej wiarę i pracę przypieczętował bohaterską śmiercią w walce z bolszewikami pod Malinem (w kwietniu 1920 r.) syn jej, Stanisław Radziwiłł.

A. Hłasko Pawlicowa.

Z pamiętnika rosyjskiego oficera-Polaka *)

Zastanawiając się nad projektem swego małżeństwa, nabierałem coraz bardziej przekonania, że sam Bóg wyznaczył Naszą Matkę i że działam po myśli mego dobroczyńcy, wuja Rafała. Nazajutrz wystosowałem list do przyszłego teścia z opisem warunków bytu w odległej krainie i uciążliwej podróży. Niczego ukrywać nie chciałem. Na odpowiedź wypadało czekać dosyć długo. Poznawałem tymczasem Orenburg. Miasto to odznaczało się wschodnim kolorytem. Większość ludności stanowili mahometanie. Kozacy Orenburscy, dawno tam osiedleni, podpadli wpływom wschodnim: znali doskonale języki tatarski i kirgizk i w domu używali strojów bucharskich, zwłaszcza chałatów. W odległości 2 klm. od miasta znajduje się [illegible] dwór. Był to olbrzymi czworoboczny budynek, okalający duży plac z cerkwią i meczetem. W gmachu tym mieściły się liczne sklepy z jedynem wejściem od strony placu. To, co ujrzałem na placu, pozostawiło niezatarte wrażenie: wśród kurzu i wrzasków różnorodnych ujrzałem skłębioną, falującą mieszaninę 10.000 wielbłądów, stada olbrzymie owiec i dużego bydła i tysiące obnażonych po pas kirgizów w czapkach futrzanych. Przypominały się mi obrazy biblijne z

*) Patrz N 2.

patrjarchami. Na uboczu stały brawne wschodnie namioty, w których na przepysznych kobiercach rozsiedli się bogaci kupcy z Buchary. Kochane dziatki! Urodziliście się w tamtym kraju i zapewne dobrze pamiętacie podobne obrazy. Chociaż życzę z całego serca, byście nie trafili tam jeszcze raz, jednak przypuszczam, że z przyjemnością przypomnicie sobie kraj lat dziecinnych, gdy będziecie to czytali. Wspominamy i Matkę waszą często, pobyt nasz w Turkiestanie, gdzie przeżyliśmy niemało przyjemnych chwil, jakkolwiek zaprowadziła nas do tego kraju twarda, konieczność. A teraz wracam do teścia. Po otrzymaniu życzliwego listu cieszyłem się jak dziecko i poświęcałem w swe plany poczciwego Hryc'ka, który dzielił mą radość, zadowolony z tego, że będzie gospodyni, co mu ułatwi pracę.

Gdy się dowiedziałem, że w Orenburgu istnieje kościół, wnet udałem się, by złożyć modły dziękczynne Stwórcy za Jego opiekę nade mną. Ksiądz Zilenko, przezacny nasz przyjaciel, trzykrotnie ogłosił zapowiedzi i wydał mi o tem zaświadczenie. Zamówiłem mszę żałobną za duszę wuja i zacząłem wybierać się w drogę.

Zima w tym r. zaczęła się wcześnie; w połowie października spadł śnieg, który już nie stopniał. Zamierzałem skorzystać z urlopu tylko dwumiesięcznego, by nie obarczać swego wykazu służebnego. Poprosiłem generała, by zapisał mi tylko istotny urlop, co też chętnie uczynił. Nabyłem obszerną kibitkę — z dużym wojłokiem dla ochrony przed zamiecią. Sama była wspaniała, czułem się znakomicie. Konie były doskonałe, pieniędzy miałem dość. Wyobraźnia snuła cudowne obrazy szczęścia rodzinnego.

W Moskwie zakupiłem cukierków i prezentów dla całej rodziny. Przybyłem do Juchnowki nieoczekiwany. Gdy ukazała się wasza matka, — całowałem jej rączki i gadałem bez przerwy. Opowiadała mi, że nie uwierzyła, gdy służąca przybiegła z wiadomością o przyjeździe narzeczonego. Tyle razy ją oszukiwano, żortowano, że teraz zmusiła służącą do solennego potwierdzenia tej nowiny przed obrazem. Teść nabył już majątek i zamierzał tam sprawić wesele. Był to grudzień rok 1852 — najszczęśliwszy rok w mem życiu. Przejażdżki sankami, odwiedziny gościnnych sąsiadów, długie serdeczne rozmowy, piękny krajobraz — wszystko wytwarzało nastrój szczęśliwości i poezji. Sąsiedzi przyjeżdżali specjalnie, by się pogapić na narzeczonego dziwaka, który przybył za 200 klm. po żonę, którą zabierze z powrotem na krańce świata. Narzeczona ma podróży tej wcale się nie bała.

Ślub nasz odbył się w kościele w Smoleńsku. Uczta weselna była bardzo skromna. Ujawniło się przytem wyraźnie skąpstwo teścia. Przeszło miesiąc minął nam wśród zabaw. Odwiedzaliśmy sąsiadów i przyjmowaliśmy gości w domu teścia, który stał się hojniejszym. W połowie lutego należało wyruszyć do Azji. Żona prosiła ojca, by dał jej ze sobą służącą i lokaja. Po pewnych sporach skąpiec zgodził się na to. Drugą nieprzyjemną sprawą były finanse. Wydałem dużo pieniędzy. Wypadało wracać w dwu powozach. Podróż miała być długa i kosztowna. Posiadanej gotówki starczyłoby na opędzenie jej kosztów, lecz o umeblowaniu mieszkania nie można było marzyć bez tysiąca rubli. Zważywszy to wszystko przekonałem żonę, że powinna poprosić ojca o ten tysiąc, jako część obiecanego posagu, który miał wynosić 5000 rb. Żona udała się do pokoju ojca i po dłuższej rozmowie wróciła poirytowana i zapłakana. Wyznała mi z płaczem, że ojciec pieniędzy nie da, że oskarża mnie o zamiar obrabowania go. Mówił, że nie rozumie, poco się ożeniłem, nie mając środków. Rozumiałem walkę, jaka rozgrywała się w duszy mej żony między miłością ku mnie i przywiązaniem do ojca i starałem się wszelako uspokoić zrozpaczoną matkę waszą. Nie chcąc kłótni, lecz nie mogąc zarazem obejść się bez pieniędzy, namówiłem żonę, by poprosiła ojca pierwszej posobności. Ojciec znów odmówił. Krew zawrzała w mych żyłach. Ojciec mej żony nie ma do mnie zaufania! Chciałem wnet udać się do niego, lecz łzy i błagania żony powstrzymały mnie. Z teściem nie rozmawiałem

Trwoga i ponure myśli tak mną opanowały, że z teściem nie rozmawiałem i zamierzałem nawet wyjechać sam, lecz cierpienia waszej matki wzruszyły mnie. Pomogła nam zamężna siostra mej żony, zaczęła ojcu czynić wyrzuty za naszą krzywdę. Teść, widocznie nieco skruszony, rozpoczął ze mną rozmowę, pytając, czy gniewam się na niego. „Wyrzucił pan córkę, jak jaki łachman, wiedząc, że udaje się o 3000 klm. Chciał Pan pozbyć się jej. Mnie uważa Pan widocznie za człowieka bez czci, skoro nie chce udzielić pożyczki. Niech Pan będzie spokojny — córka pana nigdy o nic pana nie poprosi" — odrzekłem z wielką goryczą. Na zapewnienia teścia, że obietnicę swą spełni, lecz teraz pieniędzy nie posiada, odparłem ostro, że to jest znana piosenka. Nazajutrz żona przyniosła od ojca 500 rb. Byłem oburzony, chciałem oddać pieniądze skąpcu, lecz żona błagała nie gniewać się na ojca. „Nie gniewajcie się, dziatki, na dziadunia i kochajcie go. Skąpstwo jest straszliwą, nieuleczalną chorobą. On nie winien, że ta choroba dręczyła go. „Przed wyjazdem pożegnałem się z teściem serdecznie, ucałowałem go. W drugiej połowie lutego byliśmy już w drodze przez lasy Murmańskie koło rzeki Oki. Sanna była wspaniała, konie wyborne, woźnice śpiewali cudownie. W Orenburgu rozpoczęliśmy spokojne życie, mając lokaja, kucharza, pokojową i furmana. W końcu marca nasza idylla została nagle przerwana. Generał-Gubernator Perowski wyjednał u cara pozwolenie na zorganizowanie wyprawy konnej przeciwko Chaikowi Kokaudu celem zajęcia fortecy Ak-Meczet, z której odbywały się napady na terytorjum rosyjskie. Ja, jako komendant 4 bataljonu, miałem być głównym organizatorem tej wyprawy. Niemało kłopotu miałem ze zmianą uzbrojenia. Należało wycofać przestarzałą skałkową broń palną i zastąpić ją karabinami nowego systemu. W Orenburgu atmosfera była zatruta intrygami i nienawiścią między Perowskim i generałem Romanowiczem. Różne panie, z któremi Perowski był w dobrej komitywie, z nienawiści do Romanowicza, kładły w uszy Generał-Gubernatorowi, że Romanowicz każe mi przyjmować popsute karabiny, by zaprzepaścić całą wyprawę. Perowski, który miał otrzymać tytuł hrabiego za wyprawę przeciw Chiwy w r. 1839, lecz zawiódł się i Chiwy nie zdobył, był na tym punkcie niezmiernie przeczulony, wszystkim plotkom uwierzył i kazał mi złożyć mu raport, zaznaczając, że wie o naruszeniu przeze mnie instrukcji dotyczącej odbioru karabinów. Pokazałem to pismo Romanowiczowi, którego uważałem za człowieka życzliwego i pod którego kierownictwem dokonywałem przyjmowania karabinów. Generał uspokoił mię, powiedział, że cała sprawa jest błahostką. Kazał pokazać mu raport przed odesłaniem. Gdy przyniosłem mu swój elaborat i zacząłem czytać, zniecierpliwiony i rozdrażniony, wyrwał mi papier z rąk, usiadł i sam na drugiej stronie napisał całkiem nowe sprawozdanie które kazał mi przeczytać, a oryginał oddać je mu. Przepisałem, odesłałem do Sztabu Korpusu, lecz rękopis generała zapomniałem mu zwrócić. To uratowało mnie od nieszczęścia, jak dowiodły późniejsze wypadki

D. C. N.

Uwagi krytyczne

nad pracą mg. Janusza Staszewskiego p. t. „Powstanie poznańskie 1809 r."

(Kronika m. Poznania. 1930, R. VI, nr. 1, Str. 1—16; nr. 2, str. 160—180; nr. 3, str. 264—277.)

Jest to bodaj najpoważniejsze, zarówno jakościowo jak i ilościowo, studjum Autora nad wypadkami wojny 1809 r. Opierając się głównie na korespondencji gen. Dąbrowskiego, omawia w głównym swym zrębie początki formacyj ochotniczych, tworzonych w departamencie poznańskim. Do pewnych zagadnień ustosunkowuje się A. hiperkrytycznie, jednakże dzięki masowo przytaczanym przezeń źródłom można utworzyć sobie sąd o rzeczach, nieulegający żadnym sugestjom. Tak więc z I rozdziału, omawiającego rolę Wybickiego i Kosińskiego, wynika zgodność ich współdziałania, idącego zdaniem najbardziej

miarodajnych w wydaniu o tem sądu „jak najzgodniej i jak najlepiej", wedle Kosińskiego (s. 6.) Również Wybickiego świadectwo potwierdza, iż z generałem-organizatorem „jednomyślnym duchem, pomocą, gorliwością, ratowali się w fatalnej ich pozycji". [1]) A. nie docenia pobudek niezadowolenia Kosińskiego. Natury bardziej osobistej była przykrość, jakiej doznawał wskutek zrównania go uchwałą Rady Stanu z 16 IV 1809, z niższymi stopniem oficerami. Bardziej rzeczowe były jego obawy, ażeby władza cywilna nie paraliżowała czynności bojowych. Dotyczą tego przytoczone na str. 7, wyjątki z listów K-go, w których A. dopatruje się jedynie jego przesadnej ambicji. Taki sąd możnaby odnieść, czytając wyrwane przezeń części dokumentu, które w zostawieniu z całością źródła dać mogą prawdziwy obraz nieco bardziej złożonych uczuć generała, skoro obok jego utyskiwań, znajdziemy w liście opis ich pobudek i wyników jego usiłowań organizacyjnych. Dla zrozumienia „urzewnień" K-go zachodzi potrzeba rekonstrukcji dokumentu: Pismo rozpoczyna się uwagą, że Rada Stanu oddała dowództwo wojska linjowego w Kaliskiem płk. Biernackiemu, „od dn. 16. IV. już czwartej doświadczamy odmiany w urządzeniach Rady. Przez pierwsze..." Tu następuje ustęp przytoczony przez mg. Staszewskiego, (z pominięciem wszelkiej interpunkcji), poczem znajdujemy słowa, stanowiące organiczną całość z poprzednim urywkiem. „Naostatek ta władza, która ogólnym tylko kierunkiem zatrudniać się powinna, wchodzi w szczegóły i przerywa porządok. Przysięgam generałowi na honor i Ojczyznę, że chociaż w pierwszej chwili nie mogłem nie czuć ciosów tak bolesnych i niezasłużonych, jednakże druga chwila rozwagi dała mi dosyć mocy nad sobą samym, że mogłem zapomnieć siebie, ale i ta nowa ofiara moja i wszystkie ofiary obywateli obrócą się na szkodę kraju, kiedy sam rząd wprowadzać będzie zamieszanie".[2]) Wkońcu generał zamieszcza raport ze swych czynności organizatorskich, przeniesiony przez Autora na str. 13-16. Dopiero teraz może być mowa o wydaniu sprawiedliwego i prawdziwego sądu o rzeczy.

Co do Wybickiego „projektu hordów kosynierskich", (s. 4), to był on niewykonalny zapewne i dla braku odpowiedniej ilości ludzi zdolnych w chwili wzrastającej paniki osłonić departament. Zresztą brakło im oparcia o siły regularne, co wywołało pytanie Kosińskiego: Dlaczego w Księstwie Warszawskiem w czasie pokoju radzą po wojskowemu, a wojnę chcą prowadzić po cywilnemu? [3]) Zresztą sam Wybicki okazał prawdziwą roztropność, porzucając swój plan (13) na rzecz formacyj regularnych (10).

Autor w planie Kosińskiego skoordynowania działań z departametami kaliskim i bydgoskim (162) dopatruje się wydania tych departamentów na łaskę wroga. Z innego punktu zapatrując się na to, czyż nie mógł obawiać się Kosiński, żeby rozproszone oddziałki nie stały się pastwą wroga, podczas gdy zebrane w większą grupę mogłyby owocniej działać z korzyścią prawdopodobnie dla trzech departamentów. Położenie bowiem stwarzało dylemat, którego rozwiązanie najtrafniejsze mogła zapewnić tylko trafna orjentacja wodza stosującego zasady sztuki wojennej do okoliczności. W podobny sposób rozstrzygnął rzecz Dąbrowski, który od koncentracji sił rozpoczął swą działalność w Poznaniu (str. 264.)

Autor powątpiewa w zdolność rozumowania Kosińskiego (163.) Tymczasem doświadczony i niepierwszą odbywający kampanję dowódca wiedział, że do działań potrzeba sił, a ich kierunek zależy od warunków zewnętrznych. W tym celu postanowił zająć środkowe stanowisko, ażeby za nadejściem rozkazów udać się nad Wartę, lub zbliżyć się ku Wiśle.

---

[1]) Bibljoteka Uniwersytecka w Warszawie, Coll. aut, 210, teka XVII, f. 87.

[2]) BU 210, t XVII, f. 79

[3]) Ibid. f. 69.

Chęcią imponowania tłumaczy Autor „awanturniczy“ projekt Kosińskiego podchwycenia austrjackiego szwadronu w Kutnie (164). Widzi w nim, w razie doprowadzenia go do skutku, utratę kadr siły zbrojnej departamentu poznańskiego wraz z jej dowódcą. Wiemy jednak, że Kosińskiego prócz śmiałości i rozmachu pomysłów, zimnej krwi, cechowała również, jak na prawdziwego wodza przystało, troska o zachowanie, o ile możności bez szwanku, powierzonych mu oddziałów. Zamiar ogarnięcia huzarów w Kutnie powziął niewątpliwie po upewnieniu się o możliwości dokonania go z równem powodzeniem jak w 1806 r. na czele 180 jeźdźców rozpędzał liczebniejsze pruskie podjazdy, zalewające Pomorze, z myślą ogarnięcia ich, co uskutecznił z jego rozkazu Dziewanowski, biorąc do niewoli oddział Schulenburga. [1]) Tego rodzaju poczynania nie są ani dziwne, ani obce duchowi taktyki napoleońskiej. Znał więc je dobrze Kosiński, który w służbie republikańskiej Francji zyskał szlify generała brygady. Podobny manewr zaskoczenia wroga stosował w 1809 r. w zwycięskim boju żarnowieckim. Z tych samych założeń wynikał w 1812 jego plan ogarnięcia rosyjskiego garnizonu w Włodzimierzu. [2]) Z drobiazgowych rozkazów Kosińskiego, dotyczących tego ruchu osaczającego, bezstronny czytelnik przekona się, że ich projektodawca nie mógł być ani zapamiętałym rębajłą, ani dowódcą ograniczonym na umyśle do tego stopnia, żeby nie rozumiał, że ściągając siły sąsiednich departamentów, tem samem je odsłania (str. 163.) Przeciwnie nabiera się prawdziwego wyobrażenia o jego głębokiej znajomości rzemiosła wojennego, stosowaniu działań do jakości sił rozporządzalnych i właściwości osobistych ich dowódców. W tym wypadku (1812 r.) wybija się właśnie jedna z zasadniczych cech generała, który również jak potrafił być nieustraszonym w boju, równie okazał swe zrównoważenie i dobrą orjentację, odwołując wyprawę, skoro się dowiedział o wzmocnieniu wroga i zaatakowaniu przezeń innego odcinka. — Tylko stosując tutaj metodę porównawczą, można trafnie oświetlić omawiane działania i sąd o nich wydać sprawiedliwy. Zresztą źródła przytoczone przez Autora stwierdzają, jak ostrożnym i przewidującym dowódcą był Kosiński. Zgodnie z przewidywaniami generała, niestosujący się do rozkazów Kęszycki został pod Pyzdrami rozbity (168). Za podobne wysłanie jazdy wraz z piechotą na wozach przeciw Gatterburgowi (267), nie spotkał żaden zarzut Dąbrowskiego. Sądzę, że na równe względy w analogicznym wypadku zasługuje Kosiński.

W związku z wezwaniem Poznania do kapitulacj przez Austrjaków, Autor przejaskrawia depresję Kosińskiego, który stanął wobec dylematu obrony lub opuszczenia miasta. Cóż dziwnego, że pozbawiony środków bronienia Poznania przed większemi siłami, które mogły ruszyć za podjazdem Gatterburga, Kosiński chciał za wzorem naczelnego wodza nie zamykać się w murach miasta, bez widoków utrzymania się. Co można było uczynić ks. Józefowi na czele regularnej armji, to wystarczyłoby na usprawiedliwienie organizatora departamentowego, podobnemi kierującego się pobudkami. Depresja jego widocznie nie była tak głęboka, skoro na doradczy w tym wypadku głos Wybickiego, generał ostatecznie rozstrzygnął sprawę, postanawiając bronić Poznania. W tem miejscu nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę, że również Dąbrowski w 4 dni potem wyrażał się w duchu poglądów Kosińskiego: „Nie mając ani jednego starego żołnierza siedzieć muszę jak kret w Poznaniu i żadnego patrolu wysłać nie jestem w stanie, a zatem w obawie jestem by mię (!) huzarzy nie wpadli w sile do miasta...“ (str. 266.) Słusznie też Autor nie czyni Dąbrowskiemu z tego powodu zarzutu, przyznając, że do oswobodzenia Poznania przyczyniła się dywersja w okolicach Torunia (170 ln.), a przystąpienie do

[1]) Willaume. Amilkar Kosiński. Poznań, 1930, s. 27.

[2]) Kosiński do Haukego. 11. XI. 1812. i do in. Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu. rkp. 515 g.

działań zaczepnych w Poznaniu było możliwe dopiero w oparciu o garść regularnego żołnierza, które szło za Dąbrowskim (180), jako nieodzowny kościec, spoidło i ochrona tworzonego wówczas powstania.

Poza naświetleniem wypadków pewne zastrzeżenia budzi przedewszystkiem technika ogłaszania źródeł. Z widocznem zamiłowaniem przytaczane dokumenty, wymagają staranniejszej oprawy, niezbędnej zwłaszcza w tego rodzaju opracowaniu Szczególnie razi brak rzeczowych objaśnień. (np. co przeciętny czytelnik „Kronik", a nawet historyk specjalista nie w tej epoce, może wiedzieć o pochodzeniu i znaczeniu słowa „Hollendrów" (!) na str. 275, skoro tu nie chodzi o mieszkańców Holandji.) W przypisach, z rekordowym brakiem ekonomji wydawniczej, Autor stale podaje zbyt pełną sygnaturę akt, spotrzebowując przeciętnie 3 wiersze dla podania paginacji jednego dokumentu, co później powtarza ad infinitum. Podobnie stale przytacza miejsce i rok wydania dzieł przy *wtórnych* cytatach, które w sposób niedozwolony wydłuża, np. na str. 1 nazywa własną swą pracę: „Polskie gwardje narodowe w czasach Ks. Warszawskiego", kiedy w oryginalnej pracy w nagłówku niema słowa „Polskie". Również tytułem mej pracy nie jest: „Generał Amilkar Kosiński".

Z szeregu drobniejszych pomyłek wymienię: na str. 2 Autor nazywa Kosińskiego administratorem, choć z życiorysu wiadomo, że był dzierżawcą; str. 161, nota 4, chyba amplacować, a nie amplicować; str. 165, n. 4, rok wydania zmienić na 1869; str. 273, n. 27, zamiast mianownika oczywiście mowa o liczniku. Wystrzeganie się tego rodzaju usterek metodycznych wpłynie niewątpliwie korzystnie na jakość opracowania.

Sprawiedliwość przyznać nakazuje, że mimo wspomnianych braków, omawiana praca w obfitym dorobku mg. Staszewskiego stanowi najwartościowszą pozycję.

Juljusz Willaume.

Pitagoras i jego szkoła*)

Doniosłość filozofji pitagorejczyków dla rozwoju nauk ścisłych a przedewszystkiem matematyki, oceniana jest obecnie nader rozmaicie. Wielu współczesnych historyków stara się osłabić znaczenie, jakie jej nadawało średniowiecze. Niewątpliwie szkole tej obcym był teraźniejszy świadomy krytycyzm naukowy, staranne i szczegółowe sprawdzenie podstaw i wyników każdego twierdzenia.

Ich wyobraźnia naukowa ściśle wiązała się jeszcze z wyobraźnią poetycko - artystyczną, a dochodzenie do nowych odkryć odbywało się pod wpływem pobudek mistycznych, z nauką nic wspólnego nie mających; dedukcyjne sprawdzenie wniosków dokonywane było przeważnie nie na drodze doświadczenia, zmierzającego świadomie do wykazania zgodności z rzeczywistością, lecz więcej intuicyjnie.

Mimo to prace ich okazały się bardzo przydatne i stosowne dla badań nauki późniejszej. Obracając się wciąż w kole mistycyzmu szkoła ta wykazała dużą działalność w dziedzinie arytmetyki. Liczbę nieparzystą nazywano „gnomonem"; sumując gnomony, otrzymywano liczby t. zw „kwadratod", co oznaczało liczby rozkładające się na dwa równe sobie czynniki; możliwe, że to pojęcie sum liczb nieparzystych odkryte zostało drogą konstrukcji poglądowej na figurze przedstawiającej trzy gnomony z liczb 3, 5 i 7, gdyż kwadraty przyłożone do kwadratu przedstawiającego jedność, dawały w sumie kwadrat złożony z 16 jedności, a figura taka przypominała kształt zgiętego pręta zegara słonecznego, który właściwie u greków nazywał się gnomonem. Pierwiastek drugiego stopnia z jakiejś liczby nazywali „stroną" (bokiem). Liczba rozkładająca się na dwa nierówne czynniki nazywała się „płaską" lub „prostokątną", a rozkładająca się na trzy takież czynniki „bryłową" zaś przy trzych równych czynnikach — „sześcionem".

Używanie przez pitagorejczyków proporcyj, t. j. specjalnego rodzaju równań, uważać

*) Patrz Nr. 2.

należy jako początki greckiej algebry, wprowadzonej przez ich założyciela. Oprócz średniej arytmetycznej i średniej geometrycznej dwóch liczb przypisują mu również wprowadzenie średniej harmonicznej, a nauka ta stanowiła przejście do nauki o postępach; czy przejście to zostało uskutecznione jeszcze za życia Pitagoresa, dokładnie nie wiemy. W związku z postępami stoi budowa trójkątów, prostokątnych, oraz inne ważne odkrycia przypisywane Pitagoresowi i jego uczniom, jak pojęcie o liczbach niewymiernych, która to dziedzina rozwinięta została dopiero znacznie później.

W geometrji trudności były mniejsze, niż w analizie dzięki poglądowemu uwypukleniu warunków zadania w postaci rysunku, co też poczęści wyjaśnia szybki rozwój nauki pitagorejskiej w tej dziedzinie. Suma ich wiadomości geometrycznych była dość duża, składała się bowiem z twierdzeń o przystawaniu trójkątów, z nauki o prostych równoległych, o sumie kątów trójkąta, o budowie figur równoważnych i wielu wiadomości stereometrycznych o bryłach umiarowych. Te ostatnie uważali jako symbole elementów świata fizycznego: ziemi odpowiadał sześcian, ogniowi foremny czworościan, powietrzu ośmiościan umiarowy, a wodzie dwudziestościan, kula zaś wyobraziła cały wszechświat. Z pomiędzy wszystkich figur płaskich wyróżniano jako najważniejszy i najpiękniejszy trójkąt prostokątny, powstały z przepołowienia trójkąta równobocznego, wobec czego wyobrażano sobie, że wszystkie wieloboki umiarowe, a nawet całe płaszczyzny składają się z takich właśnie trójkątów, a z tego pojęcia powstało pojęcie o porównywaniu i nakładaniu płaszczyzn. Późniejszy Diogenes Laertios opisuje, że Pitagores uważał kulę za najszlachetniejszą ze wszystkich brył, a z pomiędzy figur płaskich, prócz trójkąta, wyróżniał szczególniej koło, a to z tego powodu, że kula posiada największą objętość w porównaniu z innemi ciałami o tej samej powierzchni, koło zaś — największą powierzchnię w porównaniu z figurami o tym samym obwodzie.

Podanie starożytne, powtórzone przez Plutarcha, że Pitagoras przez wdzięczność za odkrycie znanego w geometrji pod jego imieniem twierdzenia miał złożyć muzom hekatombę, tj. ofiarę ze stu wołów, należy uważać za bajkę, gdyż podanie to przeczy założeniom i zasadom filozofji Pitagorasa.

Trójkąt o bokach 3, 4 i 5 znany był już dawniej egipcjanom i prawdopodobnie Pitagoras, opierając się na własności boków trójkąta egipskiego, powziął myśl uogólnienia i doszedł do swego słynnego twierdzenia.

Również Pitagorasowi, lub jego najbliższym uczniom zawdzięczamy zamianę starogreckiego (lub etrusko-rzymskiego) sposobu pisania liczb przez metodę fenicką. Odtąd litery alfabetu kolejno oznaczają liczby od jednego do dziewięciu, następnie dziesięciu, dwudziestu itd. do stu, potem setki do 900. Dla oznaczenia tysięcy używano znów pierwszych dziewięciu liter od „alfy" do „tety", jak dla prostych jedności, lecz oddzielonych od setek przecinkiem; one również oznaczały „miriady" tj. dziesiątki tysięcy, lecz wtedy oddzielane były punktami.

Należy przytem pamiętać, że grecy wogóle nie używali znaków działań matematycznych, jak również liter na oznaczenie niewiadomych, wobec czego tak proporcje, jak i równania wypisywali słowami, co bardzo zaciemniało tekst i utrudniało późniejszym badaczom odczytywanie ich manuskryptów. *Prof. Zygmunt Dąbrowski.*

Św. Marcin z Tours w literaturze łacińskiej IV-VI wieku

Radosna rocznica zakończenia wielkiej wojny światowej zwycięstwem Francji i jej sprzymierzeńców, dzięki któremu naród polski odzyskał swą niepodległość, splotła się dziwnie z obchodzoną w dniu 11 listopada w całym świecie katolickim, a szczególnie we Francji, kościelną uroczystością ku czci wielkiego jej apostoła, św. Marcina, biskupa z Tours. Fakt ten powiększa jeszcze bardziej ogromną popularność i cześć tego Świętego, którego imię było dotąd symbolem chrześcijańskiego miłosierdzia, a teraz staje się również symbolem pokoju.

Szukając powodów niezwykłej popularności i powszechnej czci św. Marcina w świecie chrześcijańskim, łatwo można zauważyć, że przyczyniła się do tego w wielkim stopniu ówczesna literatura łacińska, sławiąca jego osobiste cnoty i zasługi oraz cuda przez niego zdziałane. Od końca IV wieku poprzez wiek V i VI aż pięciu pisarzy, historyków i poetów przedstawiało żywot i czyny św. Marcina.

Pierwszym jego biografem był znany autor „Kroniki świata", Sulpicjusz Sewerus, żyjący na przełomie IV i V w. w galickiej prowincji Akwitanji. Jako przyjaciel wielkiego biskupa z Tours uważał za swój obowiązek opisać jego życie i działalność, „by nie popadł w niepamięć ten, którego należało naśladować". Jeszcze za życia św. Marcina napisał Sulpicjusz jego „Żywot", lecz ogłosił go dopiero po śmierci Świętego. Treścią tego dziełka jest opowieść o tem, jak wielki apostoł nawracał lud wiejski w Galji, jak dokonywał licznych cudownych uzdrowień, jak walczył z djabłami i obcował z aniołami. Uzupełnieniem „Żywota" są „Dialogi" w dwu księgach, przewyższające go cudownością, oraz trzy „Listy", z których ostatni opisuje śmierć św. Biskupa. Język tych pism Sulpicjusza, odnoszących się do św. Marcina, to mowa prostego ludu, a treść ich i wziętość świadczy przedewszystkiem o znacznej łatwowierności i o ówczesnem upodobaniu w cudowności. Przeznaczone od początku dla ludu znalazły te dzieła takie rozpowszechnienie wśród całej ówczesnej społeczności chrześcijańskiej, znającej język łaciński, że księgarze rzymscy nie mogli nastarczyć dostatecznej liczby egzemplarzy odbiorcom i czytelnikom. Wywarły one wielki wpływ na hagjografję późniejszą, a w wieku V i VI stały się podstawą i głównem źródłem dla opracowań poetyckich oraz przedstawień prozaicznych życia i czynów św. Marcina.

Już około r. 470 napisał Paulin z Petrykordji na podstawie pism Sulpicjuszowych poemat w 5 księgach o życiu i cudach św Marcina. Poemat ten tak spodobał się ówczesnemu biskupowi z Tours, Perpetuusowi, że sam opisawszy cuda, jakie się działy przy grobie św. Marcina, przesłał to pismo Paulinowi z prośbą, by z jego treści ułożył poemat. Paulin spełnił to życzenie i opisał wierszem „Cuda Marcina po śmierci zdziałane", uchodzące za szóstą księgę całego poematu. Sztuczne i napuszone wiersze Paulina przebrzmiały jednak bez silniejszego echa

W sto lat później w ślady Paulina poszedł inny poeta, pochodzący z północnych Włoch, Wenancjusz Fortunas, który z wdzięczności za uzdrowienie z choroby oczu wybrał się w r. 565 jako pielgrzym do grobu św. Marcina w Tours, a następnie dostawszy się do Poitiers, przyjął tam święcenia kapłańskie i był najpierw pasterzem małego klasztoru, później zaś biskupem w tem mieście. Zbiór jego poezyj, obejmujący 11 ksiąg, świadczy o wielkiem uzdolnieniu poetyckiem. Poza tym zbiorem zachował się większy jego heksametryczny poemat w 4 księgach „O życiu św. Marcina", napisany przed rokiem 576, będący jednak tylko poetyckiem opracowaniem pism Sulpicjusza o tym Świętym pokoju.

Prawie równocześnie z Wenancjuszem Fortunatem żył i pisał św. Grzegorz z Tours, autor „Historji Franków". Wśród literackiej jego spuścizny niepoślednie miejsce zajmują 4 księgi „O cnotach św. Marcina", przedstawiające cuda, które stały się przy grobie tego Świętego lub też dokonały się zapomocą przedmiotów, pozostających w jakiejkolwiek styczności z jego grobem, jak zapomocą wody, użytej do zmywania grobowca. Cześć dla świętego poprzednika na stolicy biskupiej wcisnęła św. Grzegorzowi pióro do ręki i z dziecięcą radością spisał to, w co wierzył, a wierzył we wszystko, co nabożne i w tej wierze widział wszędzie cuda. Przekazując je pamięci następnych wieków, przyczynił się razem z Sulpicjuszem, Paulinem i Wenancjuszem Fortunatem do wzrostu popularności i czci św. Biskupa, który w młodości był żołnierzem, ale oręż na pastorał zamienił i znękanemu wojnami światu pokój i jedność głosił.

Jan Ujda.